

Paulina Zaremba

Twoje bliźny są twoją siłą

Kultura i Wychowanie 2, 196-200

2011

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Twoje bliźny są twoją siłą

II miejsce w konkursie
im. Julka Cyperlinga
na Najlepszy Reportaż w Roku Akademickim
2010/2011
autorka: **Paulina Zaremba**

Są takie trzy filiżanki, które bardzo lubię. Dostałam od siostry sześć. Wyłożyłam połowę na półce, pięknie wyeksponowane – na drugi dzień półka spadła. Tak zostały tylko trzy i z nich piję z gośćmi. Z córką kawkę pijam w takich złotych, delikatnych. Te znowu dostałam od sąsiadki. Ale takie te filiżanki cienkie, że od razu, za miesiąc czasu, potrąciłam za uszko i jedna pękła na pół. Takie delikatne. I jak córka jest – ona pije z tej filiżanki, jak nie ma – ja.

Paulina Zaremba
uczennica II klasy Liceum Ogólnokształcącego
im. Marii Skłodowskiej-Curie w Andrychowie

Bieda moje dzieci bije

Pani Maria wychowywała się wśród sześciorga rodzeństwa. Była drugą najstarszą córką, najszybciej nauczyła się odpowiedzialności i odwagi w życiu. Ojciec nie pracował z powodu choroby, matka musiała siedzieć z dziećmi. Była to bardzo biedna rodzina, jedna z wielu takich na Dzielcu. Już od najmłodszych lat dzieci musiały myśleć o przetrwaniu, żeby kupić książki do szkoły, buty, uszyć ubranie.

Mama Marysi wszystkie swoje dziewczynki kochała jednakowo. Była przy tym trochę nerwowa, w końcu dzieci miały dość duże braki w nauce. Ale jak dała klapsa którejś, to tato zawsze zwracał uwagę. Mówił: bieda moje dzieci bije, nie masz prawa i ty bić. Dlatego już nie biła.

Kiedy przyszła zima, były jedne buty, a cztery stopy do ogrzania. Był też mróz, więc boso się nie dało chodzić. Dlatego trzy dni siostra szła do szkoły w tych butach, a ja siedziałam wtedy w domu. Potem się zmieniałyśmy i tak wkoło. Miały braki, w końcu były dziećmi i nie korzystały codziennie z lekcji, ale mimo wszystko sobie radziły. Każda skończyła szkołę, ciągle myśląc o tym, by pomóc rodzicom. Jako dwie najstarsze, ze świadomością, że mama z piątką drobnych dzieciaków czeka w domu, bez pieniędzy, często bez jedzenia, starały się zarobić. Potem już nikt nie czekał w domu – dom się zawalił. Mieszkali u obcych, ścieśnieni w jednej komórce. Ale mieli działkę, była perspektywa budowy nowego, własnego lokum. Tylko pieniądze... Pieniądzy nie było, ale były córki.

Już zaraz po ukończeniu podstawówki, dzień czy dwa, robiłam koło Krakowa na przędzalni. Gdy skończyłam szesnaście lat przeniosłam się do Bielska, bo tam już przyjmowali, a potem do Andrychowa, bo tu trzeba było mieć osiemnaście. W Bielsku mogła pracować dalej, ale dokuczały dojazdy. Nie dojeżdżał blisko żaden autobus, samochód, nie było nic – jeden rower we wsi był... tyle. Więc chodziła siedem kilometrów do stacji kolejowej. I za pięć dwunasta w nocy wracała, i znów te siedem kilometrów ciemnym lasem.

Dom wybudowali w dwa lata, sami wyrabiali cegłę i wszystko, co byli w stanie zrobić.

Od dziś będę naprawdę odważną osobą – tak pójdę przez życie

Pracowałam, chodziłam, raz w życiu tylko się wystraszyłam. Tato mówi tak: muszę ci kupić baterijkę, bo jak ty tak w nocy przychodzisz na pierwszą do domu, jakby cię coś spotkało na drodze – żebyś mogła przyświecić. W pierwszym dniu, niosąc lartarkę, szła bardzo zadowolona. Gdy dochodziła do zagajnika przy zakręcie, poświeciła sobie nią wzdłuż drogi, czy tam nie ma kogoś koło lasu, czy pusta droga. Boże Drogi! W czarnych garniturach, krawatki białe, blondyny! Wystraszyłam się okrutnie i szurnęłam szybko w bok. Przebiegła przez pola. Dotarła do domu i opowiedziała wszystko rodzicom. Na drugi dzień szła razem z siostrą. Pokazuję jej, gdzie ci panowie siedzieli. Przyglądam się i, Boże Drogi!, grube, ścięte dwie sosny czarne. A u góry tak zrobione, że wyglądało to jak włosy, a na środku ciachnięta jakby krawatka.

Pierwszy raz i ostatni się wystraszyłam. Nigdy więcej! Od dziś będę naprawdę odważną osobą. Tak pójdę przez życie, tak sobie postanowiłam – powiedziała do siostry.

Paradnica wystrojona

Kiedy dostała skrawek materiału, sama uszyła sobie sukienkę, taką z gustem. Zakładała obcasik i zawsze pięknie się prezentowała. Potem wszyscy patrzyli, jaka paradnica wystrojona. I mówili: ona daleko zajdzie. I zaszłam daleko – jeden kilometr od domu rodzinnego – mówi ze śmiechem.

Pięknie śpiewała. Na przedstawieniach szkolnych, a później nawet do szkoły muzycznej chcieli ją wziąć. W Krakowie. Ale Marysia nie miała możliwości – nie było na buty, nie było na książki. Na szkołę muzyczną też nie było.

Czuwałam nad naszym szczęściem

Pani Maria, gdy pierwszy raz zobaczyła Czesława, nie przypuszczała, że za pięć lat będą małżeństwem.

A mężem okazał się wspaniałym. Jeszcze przed ślubem wybudował fundament na dom, ale później został wezwany do wojska. Po dwóch latach wrócił na gotowe. Pani Maria wzięła sprawy w swoje ręce i skończyła budowę.

Moje małżeństwo było udane i szczęśliwe, ufałiśmy sobie bezgranicznie. Zawsze czuwałam nad naszym szczęściem, dbałam, by iskra, która w nas płonęła, nie zgasła.

Pozwalał jej podróżować, dawał na to pieniądze. Wszystkie sąsiadki zazdrościły takiego Cześka. Zwiedziła tyle krajów: w Bułgarii była dwa razy, na Węgrzech, na Słowacji... i polskie wybrzeże nie było dla niej zagadką. Sam nie lubił wyjeżdżać, prowadził gospodarkę. On kiedykolwiek kupował sobie piwo, mnie zawsze kupował banany. Albo grejpferty. Miałam cukrzycę.

Ratujcie! Gwałci w stodole!

Pani Maria była odważna, szła twardo przez życie, nikogo się nie bała ... ale chłopców się bała.

Jak miałam dwanaście lat, chciał mnie zgwałcić osiemnastoletni chłopak. Właśnie w tym zagajniku, gdzie się tak wystraszyłam. To był znajomy mi człowiek.

Powtórzyło się to, gdy była już mężatką. Tyle że wtedy na taki krok odważył się szwagier, gdy zwozili zboże do stodoły. Koniec końców udało jej się krzyknąć: Ratujcie mnie! Leśniak mnie chce zgwałcić w stodole! I uciekł.

Nigdy kobieta nie powinna powiedzieć mężowi, że ten a ten chciał ją zgwałcić. Ale gdzieś po roku, jakoś tak się zgadaliśmy, że mi to wyszło. Później, może pięć miesięcy, spotkali się, chyba to były imieniny, poszli sobie do pokoju i mąż trochę wypity wygarnął mu wszystko. Szwagier wtedy powiedział coś takiego: „ Nie gniewaj się, ale ona jest przebystra przecholera. Ona potrafiła zawołać moje nazwisko, moje imię! Wiedzieliby wszyscy!” Później wypili sobie na zgodę. Oni, nie ja! – zaśmiała się. Jakby mój mąż był zgwałcony. A później jeszcze szwagier dodał na zgodę: że miała tak czyste, białe, śnieżnobiałe piękne majtki, że jeszcze w życiu takich majtek nie widział. Strasznie się z tego śmiała, ale już nigdy nie rozmawiała z mężem na ten temat.

... a dziecko by umarło

Córka, Róża, jako jeszcze malutka dziewczyna oparzyła się w rękę. Tak maleńko, ot jak łyżeczka do herbaty. Pochorowała się bardzo przez tę ranę i trzy miesiące w szpitalu spędziła. Dzień, dwa dni później bez leczenia, a dziecko by umarło. Lekarze nie widzieli problemu.

Dopiero później trafił się taki, co zobaczył. Nie tylko zobaczył, a pomógł. Dziecko wyzdrowiało.

Nigdy nie puszczała synka na główną drogę. Zawsze gdzieś bawił się na tych polnych, rzadko uczęszczanych. Przyjechał jednak kolega ze szkolnej ławki i wyciągnął na rowery. Mieli po dziewięć lat. Mijały się dwa autobusy na przystanku. Pawełek cały czas jeździł za kolegą, ale ten był szybszy. Gdy przejechał ulicę wskroś, chłopczyk znalazł się między autobusami. Jeden potrafił dzieciaka, odjechał. Drugi zatrzymał się paręnaście centymetrów od głowy chłopca. Leżał na drodze z urazami czaszki i nóg, nieprzytomny spędził na łóżku tydzień, otoczony modlitwami rodziny, potem szybko się potoczyło. Poskładali go, wyszedł na całość. A byłam taka szczęśliwa, dziękowałam Bogu. Jednak po tych urazach Pawełek nie mógł się skoncentrować, opuścił się w nauce. Musiał dwa razy przeczytać czytanekę, aby odpowiedzieć na proste pytanie i dostać dostateczny. Szybko się zniechęcił, nie chciał siedzieć nad książkami. Umyślał sobie, że skończy z podstawowym wykształceniem i pójdzie do górnictwa. Ojciec nie chciał na to pozwolić, widział syna w gospodarce, chciał, żeby odziedziczył po nim pole i kontynuował rolnictwo przy domu. Ale wyszło na jego, dostał się do kopalni.

Mamuśka, nie lubię cię

Nosił tam straszne ciężary, aż dostał urazu ramienia. Prosiłam, żeby się zwolnił, że to jest od ciężaru. Ale on nie chciał, nosił dalej, tylko teraz na głowie, żeby mama się nie zauważyła tych zgnieceń na ramionach. Kręgosłup w końcu nie wytrzymał, siadł z jednej strony, a żebra zbiły się na kupę. Cierpiał, ale nie chciał się przyznać. Przemęczył to, przeboleł, nic nie powiedział. Po jakimś czasie, przez zaniedbanie, zeszytniał mu kark i stracił władzę w jednej ręce. Na drugi dzień szyję puściło, ręki nie. Dostał od

lekarza tabletki na ból i zwolnienie, cztery dni miał zostać w domu. Po paru tygodniach nie było już żadnych mięśni: same kości i skóra. Nie interesuje mnie, jak pan to zrobi, proszę mnie skierować do fachowca, który może mu pomóc. Pan ani razu nie oglądnięt jego ręki, nie kazał się rozebrać, pokazać mu. Pan jest lekarzem? Na rzęsach niech pan stanie! – wykrzyczała pani Maria w gabinecie. Skierowanie się znalazło i chłopak wyzdrowiał. Po tym wypadku zmężniał, wyprzystojniał. Trochę też ucichł, mniej mówił, bardziej zamknął się w sobie.

Jak wypił piwo to przychodził i mówił: Mamuśka, kocham cię, wstańże, porozmawiamy. Dawno nie gadaliśmy. Albo: Mamuśka, nie lubię cię. Pytałam się: nie lubisz mnie? Czemu ty mnie nie lubisz? A on: a, bo ty jesteś za bardzo opiekuńcza. Tracił pewność siebie, częściej zostawał w domu. Mówiłam mu, rozmawialiśmy z nim, żeby szedł do psychologa. Ale on mówił, że się kontroluje. Że nic z nim nie jest. Pani Maria pojechała za niego do psychologa, po poradę. Jednak koniec końców nic nie wskórała, bo Paweł nie widział w sobie problemów.

Od tego się zaczęło

Paweł zobaczył w rowie kolegę. Leżał kompletnie pijany. Był mróz i mżawka, ślisko strasznie. Zabrał go do samochodu, chcąc odwieźć do domu. Usiadł na przednim siedzeniu, nieprzyięty pasami. Paweł zawsze kierował jedną ręką, lewą. Jak dodał gazu kolega się kiwnął i spadł na rękę kierowcy. Chłopak stracił kontrolę nad pojazdem – samochód wylądował w rowie. Nic się w sumie nie stało, pękła tylko obudowa.

Mój mąż strasznie to przeżył, dwa i pół roku samochód ma, nowy samochód. Przy naszych zarobkach... Ja mówię, dajże spokój człowieku. Kupimy część w Bielsku, w zakładzie, i będzie jak nowy. Ale on

mówił, że nie, że nie wierzy – to będą stare toki, to będą stare toki!, powtarzał.

Obraził się na syna.

Była kolacja, Paweł podał talerz tacie, potem mamie. Już niósł sobie zupę, gdy usłyszał od ojca: wynoś się stąd! Jedz, gdzie chcesz, ale tu nie będziesz. Nie myślisz o życiu, patrzysz zbierania pijaków po rowach, dobre uczynki robić, a nie patrzysz swojego życia.

Pawełek był nieśmiały, wrażliwy. I od tego się zaczęło. Od tego się zaczęło naprawdę.

Nie uroniłam łez – tak Pan Bóg mi dał

Serce zaczęło kuć panią Marię pewnego popołudnia. Czuła, że coś się stanie, niekoniecznie dobrego. Jako bardzo religijna osoba poprosiła Boga, żeby czuwał nad nią i, jeśli to wydarzenie będzie przykre, bolesne, by nie odbierał jej zdrowego rozsądku.

Jej mąż pojechał do sklepu, obiecał, że wróci za dwadzieścia minut. Nie wrócił. Rany Boskie, nie ma Cześka, Rany Boskie!

Parę godzin później okazało się, że miał wypadek. Był w szoku, głowa stłuczona i lekki wylew. Rozpiął pasek, zahaczył o małe drzewko, cofał się na kolanach, chciał się wygrzebać z samochodu. I na tym pasku się uduślił.

Przez pierwsze pół roku pani Maria nie uroniła ani jednej łzy. Ja byłam jak w innym świecie, to taka reakcja, jakby mnie to nie dotyczyło w ogóle. Jakby to nie dotyczyło śmierci. Tak Pan Bóg mi dał. Ale zsiwiałam do białości.

Po tym szoku potrzebne było trochę mądrości, żeby nie wpaść w jakąś depresję. Wiedziałam, że muszę się czymś zająć. Postanowiłam otworzyć działalność agroturystyczną. Już jakieś dwanaście dni po śmierci męża przyjełam pierwszych wczasowiczów. Nie było czasu płakać po stracie męża.

Stryczek spaliłam. Kupił nowy

Pawelek był bardzo uczuciowym chłopakiem, nieprzeciętnie wrażliwym. Po urazach z młodości nie mógł pić alkoholu, to źle wpływało na jego zdrowie... ale pracował na kopalni.

Jadąc do pracy, nie potrafił po raz dziesiąty odmówić kolejki, nie umiał nie napić się „za zdrowie”. Brał wszystko do siebie, nie miał dystansu, za bardzo się przejmował. Później przychodził do niego, pod nieobecność matki, sąsiad – na piwko. I tak wkoło.

Wszystko zaplanował, tak przynajmniej się wydaje. Kupił specjalny strychezek. Ja znalazłam tą pętlę w wersalce i normalnie ścięło mnie z nóg. Linkę spaliłam.

Raz przyszedł wcześniej z pracy. W drzwiach go przywitałam: jak się cieszę dziecko, żeś tak wcześnie wrócił do domu. Tak się ucieszyłam. Powiedział wtedy: zjem obiad, prześpię się, mam. A koło piątej będę kosił.

Pani Maria sadziła kwiatki w ogródku. W pewnej chwili postanowiła sprawdzić, co z obiadem, czy czasem się nie przypala. Idąc, zauważyła, że drzwi do stodoły są otwarte. Tam trzymali maszyny.

Poszłam zawrzeć i na głos tak do siebie mówię: kto te drzwi otworzył? A w środku mój syn na kolanach. Klęczał. Zahaczył linką o rygiel taki...

Cztery minuty – nie żył. Gdyby znaleziono go dwie minuty wcześniej, uratowaliby go. Tak stwierdziło pogotowie. I zostawiono tę informację matce. Dwie minuty wcześniej. Dwie.

Mąż pani Marii zmarł 22 maja. Równe pięć lat później, w sobotę, syn odbiera sobie życie. To był tak urodny chłopak! Przystojny, grzeczny, spokojny...

Jak nie mogłam zasnąć, pisałam wiersze i wspomnienia. Kładłam się o dwunastej w nocy, brałam tabletkę nasenną, żeby zaraz zasnąć i nie myśleć.

Trzeba wyjść obronną ręką

Mam martwicę mięszu sercowego – siedem centymetrów serca nieczynne. Miałam dwa zawały, pięć stanów przedzawałowych. Byłam dwadzieścia sześć razy w szpitalu w Wadowicach. Oprócz tego sześć chorób niewyleczalnych. Leczę się u reumatologa, kardiologa, diabetyka, urologa i lekarza rodzinnego.

Przepracowałam 24 lata. Dom, rodzina, praca – czułam się spełniona. Napisałam 80 wierszy, zaczęłam pisać książkę, którą mam nadzieję zdążyć skończyć przed śmiercią. Skończyłam 73 lata.

Pani Maria prowadzi agroturystykę i zajmuje się gospodarstwem. Jest bardzo wesołą osobą, często podróżuje, żartuje. Wychowała wspaniałą córkę, która pracuje teraz w szpitalu. Mieszka sama, ale doskonale sobie radzi. Gdy wstaje, planuje sobie życie. Każdy dzień kolejno, dokładnie. Nie obciąża siebie za mocno, robi to, co jest w stanie. I codziennie coś innego. I dzień w dzień.